

Maurycy Sieber.

Niegdyś każdego, kto tylko oddawał się sztuce i zdobył się na jakie takie w tej dziedzinie zasługi, zaliczano do jej kapłanów bez względu na to, z jakiego proceduru zaspakajał potrzeby marnego ciała, a termin „amator“, „dyletant“ był słowem nieznanym, wszyscy byli artyści, ten mniejszy, ów większy. Dziś, gdy walka o byt wytworzyła kasty, działy, kategorie, zawody itp., szczytne miano artysty w swoim zawodzie przysługuje niejednemu partaczowi, ale też na odwrót, niejedyn prawdziwy artysta jest tylko... dyletantem.

Dyletantów znamy różnej kategorii wielu, każdy z nich służy swej sztuce jak może, z całych sił, szerząc wśród profanów kult dla niej i pełne szacunku zamiłowanie.

W ich szeregu p. Maurycy Sieber zajmuje poważne miejsce. Stary to weteran (ur. we Lwowie 5 listopada 1846) osiwiła w pracy muzycznej a na barkach swych niosący niejedno odznaczenie za tę pracę, nie jeden okłask dłoni, umiającego ocenić trud i pracę słuchacza. Gdyby p. Sieber nie był poza studiami muzycznymi, które odbywał u Guniewicza i Mikulego, zajmował się nauką, byłby dziś może i jednym z kapłanów boskiej sztuki tonów, lecz jego czasy sielskie i anielskie przy-



Maurycy Sieber.

padły na takie czasy, w których kapłanem sztuki mógł zostać tylko ten, który z braku na studia, nie mógł nie piastować jakiego urzędu. Chociaż więc jako 23-letni młodzieniec pisywał począł sprawozdania muzyczne w pismach lwowskich, grał foremnie na instrumencie i komponował, to jednak swe służby życiowe poświęcił innemu zawodowi, zawodowi pocztowemu. Od lat 35 mieszka p. Sieber w Krakowie, pracując z pożytkiem dla kultury muzycznej tam, gdzie potrzebna była praca pioniera, niewahającego się iść w największe trudy, w największe gąszcz, by utorować drogę światłemu rydwanowi sztuki. Ile urządził odczytów z dziedziny muzyki, ile wieczorów muzycznych jemu zawdzięcza świetny sukces, trudnym byłoby do wyliczenia. Kompozycy (przeważnie niewydanych) liczy w swym dorobku kompozytorskim kilkadziesiąt. Są w tem i kwartety i chóry i pieśni i różne arrangements i wiele prac okolicznościowych, jak zbiory pieśni patriotycznych, potpourri z pieśni narodowych itd. Dziś nie czas jeszcze wyliczać szczegółowo tytułów prac tych, boć mimo chwilowej żałoby rodzinnej p. Sieber pracuje i pracować nadal będzie, w gronie swych kolegów, przyjaciół i życzliwych, a sił i wytrwałości do dalszej pracy z serca mu życzymy.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.
Napisał Bronisław Mazowiecki.

8

(Ciąg dalszy).

Minęło jeszcze dni kilka, zanim zdążono zabrać z Płocka do Prus Królewskich obłąkanego księdza Jana.

Właśnie w przeddzień wyjazdu nieopodal katedry przechodził pan Edward w towarzystwie spotkanego przypadkiem dalekiego kuzyna, gdy natrafili na zbiegowisko uliczne.

Pod murem stał z odkrytą głową, ksiądz Jan i gestykulując żywo wychudzoną ręką, wygłaszał kazanie, któremu przysłuchiwał się naigrawający się z waryata tłum gawiedzi.

Biedny obłąkaniec starał się wmówić w ludzi, że jest prorokiem i ciskał pioruny na duchowieństwo katolickie i na biskupów. A kiedy śmiano się z niego, począł z rozpacz szarpać wszystko na sobie, aż goła pierś kościasta zaświeciła z pod strzępów sutanny...

Znano już w mieście chorego, dawno od czynności kościelnych usuniętego kapłana; przyzwyczajono się do tego, że nieraz prawili ludziom, przystanawszy na ulicy, niestworzone rzeczy. Ale zdarzyło się dopiero pierwszy raz, iż waryat w sposób tak ostry napadał na kościół katolicki.

To też parę osób z inteligencji, które stały się mimowolnymi świadkami jego dzisiejszego kazania, zaczęło wyrażać głośno swoje oburzenie z powodu usłyszanych bluźnierstw.

Z okna pierwszego piętra wysłuchał uważnie całego kazania jeden z kanoników katedralnych, stary ksiądz otyły, któremu tak krew do głowy uderzała pod wpływem słów „proroka Jana“, że jego służący przestraszony nie pozwolił mu pozostać do końca w oknie, obawiając się ataku apoplektycznego.

Kiedy kanonikowi zrobiło się nieco lepiej i uspokojony po pierwszym wzburzeniu, powtarzał tylko sam do siebie:

— A to nowy Marcin Luter... ba, niebezpieczniejszy od niego nawet...

Kazał się słuzącemu zaprowadzić do księdza biskupa.

Tam przedstawivszy niebezpieczeństwo trzymania na stopie wolnej tak szkodliwego maniaka religijnego, wyjednał kanonik pozwolenie na natychmiastowe odesłanie chorego księdza do zakładu obłąkanych w Tworzech.

W godzinę później zjawił się jeden z młodych a bardzo energicznych księży, na rozkaz samego biskupa u gospodyni, która odnajmowała mieszkanie „prorokowi Janowi“. Interwencja jego okazała się jednak już niepotrzebną, ponieważ odebrał solenne zapewnienie, że nazajutrz wczesnym rankiem opuszcza maniak nie tylko stolicę płocką i dycezyę, ale nawet granice Królestwa.

Jego samego nie zastał wysłannik biskupi w domu, chory bowiem wiedząc, że go z Płocka zabierają, postanowił wykorzystać jeszcze ostatnie chwile i przenosił się po mieście z ulicy na ulicę, żeby głosić coraz to przed nowymi słuchaczami płomienne kazania.

Podniecenie jego wzmagalo się z godziny na godzinę. Wreszcie słuchacze jego zaczęli uciekać w popłochu, kiedy na ich głowy z ust waryata syłały się gradem straszne prorocтва, malujące przyszłość świata w najpotworniejszych obrazach.

Jan głosił, że jest ojcem Antychrysta, który zgładzi obecny porządek świata i srodze karać będzie ludzkość za ciężkie grzechy, jakich nie widzą duszpasterze rzymskiej owczarni.

Pod koniec jednego z takich najostrejszych już kazań, uwiadomiona o ich treści, zjawiła się w tłumie gawiedzi siostra Felicja. Przecisnęła się z trudem w środek zbiegowiska i stanęła przed Janem tak, że ten mimowoli musiał dostrzedz ją zaraz.

Zaledwie spotkały się ich oczy, gromy z ust ciskający prorok przerwał, nie dokończywszy zdania i zamilkł. Wtedy ona zmierzyła go surowym spojrzeniem.

Zerwał się Jan z pod muru i rękami trzepocąc w powietrzu, jak gdyby zraniony, chciał jej umknąć. Ale kiedy ona krok w jego stronę zrobiła, padł zemdlony na chodnik, zdoławszy jęknąć tylko niezbyt zrozumiałym głosem:

— Nie wiercie jejl!...

Tercyarka dorożką odwozila go nieprzytomnego do jego mieszkania, gdzie wkrótce ocucony, popadł w gorączkę i majaczył przez kilka godzin.

Późnym wieczorem zjawił się u niego pan Edward w towarzystwie siostry Felicji dla upewnienia się, żali nazajutrz będzie można mimo to wyjechać.

Stanęło na tem, że podróży nie należy odraczać, nagiła zaś zwłaszcza tercyarka.

W istocie następnego dnia rano, zaraz o świcie, czwórka koni pana K. uwiozła z Płocka powozem do S... „proroka Jana“ w towarzystwie dziewczica i siostry Felicji.

W drodze był chory, przez cały czas jakiś osowiały, ucichł zupełnie, w ciągu długich godzin nie mówił ani słowa, nawet na pytania nie odpowiadał.

Za to na popasach, na każdym postoju długiej podróży jadł stosunkowo bardzo dużo i jak gdyby chciwie nawet — co tembardziej dziwiło Felicję i Edwarda, ile, że wiedzieli, jak długo człowiek ten głodził się ciągle dobrowolnie.

Wogóle niespodzianką było to prawie potulne zachowanie się w drodze waryata, co do którego tak się obawiał dziedzic, biorąc go, że będzie miał z nim przez cały czas mnóstwo kłopotów.

Dojechali spokojnie do S... Tutaj pan Edward wysiadł z chwila, gdy powóz zbliżył się do bramy dziedzica dworskiego, nie żegnając się nawet z drzemiącym właśnie księdzem Janem, a tylko szepnąwszy Felicji:

— A więc do jutra.

Dwie rywalki.

Poszedł dziedzic pieszo do domu, a powóz odjechał w stronę lasu, uwożąc waryata pod opieką tercyarki na najdalszy folwark, jaki był w do- brach pana K.

Był to ten sam folwark, na którym spędzała wyznaczone jej przez męża-maniaka dni pokuty, żona pana Edwarda. Pozbawiona dzieci swoich, które kochała namiętnie, pozbawiona wszelkiego

towarzystwa, ona, która bez ludzi nie pojmowała życia — przebywała tu tygodniami w zupełnej samotności, nie tylko szpiegowana, ale i pilnowana do tego stopnia, że gdyby chciała, uciechy nie mogła.

Folwark ten stał się dla niej wygnaniem i więzieniem. Pieniężny mąż jej nie przysyłał: miała tylko gdzie mieszkać i co jeść.

Oprócz dziewczki do posług, nie miała w domu nikogo, z kimby mogła pomówić, a wolno jej było rozmawiać tylko ze spowiednikiem, nasyłanym przez męża.

Potajemnie odbierała tylko częste listy od starej klucznicy Tekluni, która poinformowała ją dotychczas o wszystkim mniej więcej, co się działo we dworze. O wizycie jednak, która ją teraz czekała, nie mogła jej starszuszka uprzedzić, gdyż sama nic o niej nie wiedziała.

Kiedy zatem z rezygnacją siedziała dziś na ganku młoda kobieta, rozmyślając nad tem, co począć, by dzieci odzyskać i uciec w świat z tego więzienia — zaturkotało na mostku i przed folwark zajechał zakurzony i zabłocony po dłuższej podróży powóz dworski, w czwórce znanych jej siwków zaprzężony.

Jakież było zdziwienie pani Edwardowej, gdy zamiast męża z dziećmi, wysiadła przed gankiem z powozu tercyarka, o której tyle naczytała się w listach pocziwej Tekluni. Nie potrzebowała żadnych objaśnień. Odrzuć, na pierwszy rzut oka domysliła się, że to ona.

Ale co miała znaczyć obecność jakiegoś obcego księdza w powozie. Znała już wielu duchownych z okolicy, z którymi mąż jej utrzymywał bliższe lub dalsze stosunki, wszelako ta ascetyczna postać wydała jej się zupełnie obcą.

Przez długą chwilę ksiądz nie wysiadał, a siostra Felicja coś mu szeptem persadowała, wreszcie zostawiła go jeszcze w powozie i sama tylko weszła na ganek.

— Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament, a pokój tym, którzy go adorują...

Z ganku nie było żadnej odpowiedzi na to dziwnie brzmiące pozdrowienie. A wtedy siostra Felicja przystąpiła od razu do rzeczy, w krótkich słowach wyjaśniając, że przywozła na folwark umysłowo chorego, który ma tu znaleźć stały przytułek i opiekę.

Dziedziczka w zimnej, ale pełnej godności rozmowie z tercyarką nie traciła ani na chwilę tonu rzeczywistej gospodyni domu, przyjmującej gościa niemiłego i niepożądanego, ale bądź co bądź gościa; gdy tymczasem siostra Felicja zachowywała się zupełnie tak, jak gdyby to ona właśnie przyjechała tutaj w charakterze właścicielki dóbr i wydawała dyspozycje jakiejś zawiadowczyni folwarku.

To też po chwili zaczęło to wyprowadzać już z równowagi zniecierpliwioną dziedziczkę.

— Ależ moja pani — zawołała wreszcie — jeśli idzie o danie przytułku ubogiemu choremu, to chyba stać mnie na to, by mu nie poskąpić dachu nad głową, ciepłego kąta i łyżki strawy... Skądże jednak ja przychodzę do tego, by osobiście opiekować się człowiekiem obłąkanym... Pani zaś wogóle poważasz się dysponować mi w moim własnym domu, co i jak mam robić. (C. d. n.)